
Od siebie

W moich oczach jest blask
Odbity od innych oczu

Czasami na jego drodze pojawia się
tapnięcie
I wtedy tworzy się poezja

W sercu

Córeczce

Tam woda
jest pragnieniem
słońce
nawołuje wiatr

tam

ramiona otwarte
na błękicie
dziecko układa klocki

Obraz oczu I

dzisiaj wiosna
dzień pierwszy
Rumuni pod kościołem
z kikutami
podwinięci w sen
niezdrowy
betonowy

śnią
o bochenku pieniędzy

Obraz oczu II

ostrzelali mnie
zabawnymi karabinami
szczerbaty Hitler
z bandą ośmioletnich esesmanów

upadłem
kocham dzieci
Rudolf H.
dobił mnie
z kopa

Obraz oczu III

to kryje się
w echu
w cieniu słów
w szepcie
w sercu

czasem tracę równowagę
dłonie moje
szyby i krew
i to
co się kryło
wisi w powietrzu

w domu
gdzie diabeł
ściany odrapał
tam z okien
widokiem jest nic

w domu zastygłym
w sens zapomnienia
małe nadzieje
chwile miłości
smutek czasami

w domu
gdzie diabeł ściany
aniołom na złość
odrapał



mało miejsca
obskurnie zimno
odrapane ściany
za paznokciami
tynk

to samotność we mnie
czy miłość
i te kraty w oknach
niematerialne
bola

pokój
trzy na trzy
więcej chodzę
bardziej mnie
nie ma

Darkowl Plekietce

to był dom
specjalnej troski
pachniało brudem
ludzkich ciał
byli normalni
tylko urojenia
rozsypywały się
po podłodze

w tym domu
drżała kobieta na pryczy
okrytej kołdrą
niedostosowaną
albo okna
chłodem otwarte
to był dom

w tym domu
i matki
pod zranionymi kołdrami
umierały

na pożegnanie
krawat pomachał wariatem

Heide 1991

jestem na obcej ziemi
powstrzymuję serce
zawracam
rozpędzone myśli
pocieszam dłonie
coraz głębiej wrastam
coraz dalej dal

tutaj chleb
smakuje domem
dom smakuje bólem
ból
nadzieją

Samotnicy

ich domem
wełniane płaszcze
jedyna prywatność

nocni łowcy
wypchanych portfeli
szperacze
dogasających petów
tropiciele

odwracam oczy
nie widzę
serca w sobie
to smutne
po wewnętrznej stronie powiek
wiosna

Mała śmierć

Stasiek umarł
alkoholik
samotny
jak zawsze
w ciasnym pokoju
nasączonym
denaturatem życia

już nie musi
dłoni wyciągać
teraz Bogu
niebo zamiata



w lesie
wiele trumien
wyrasta w hołdzie
konary żagli
do wiatru strosząc

kawałek to
bolesnej przyrody
te krzyże rosnące

a może
spalić lasy
nie będzie
śmierci



widziałem ciebie
w telewizji szpitalnej
byłeś smutny
twoje słowa
przez mgłę
jak życie
czekały na wydech

nie przyszedł
zawiesił się
trwa



martwo
jak morda klauna
kolorowo

myśli wczepione
pazurami w szafę
– może paki wypuści

ptak
niejadalnym mięsem
wzbije się
ponad stan
posiadania

Przybili mi dłonie
żelazny to gwóźdź
rozpaczy
niewiedzy przybijania
i nie muszę być Bogiem
by zawisnąć nad głowami

i mnie opluto
i mieczem w pierś
i zabili mi ojca
i matkę
i braci
i siostry
i kropkę
nad i

przybili mi dłonie
gdy w modlitwie myślałem
Boże
Ty mnie jeszcze
piekłem straszysz

Niedziela

w kościele
nie ma Boga
rozszedł się do domów

w domach
garnitury szaf
dni święte
święcą mole

w kościele
na krzyż przybite stopy
rzeczywistość
oczu wyblakłych

w kościele
ostatnie świecek
tchnienie

Cisza

Marzence Gładysz

mowa trwa
na językach
słowa miecze
i serce
zwiędła ozdoba

szeptu wyjątkowość
kłamstwo utajone

cisza
światła stwórcielka
ciał
złożonych w grobie
sen
zamkniętych powiek
nie odkryty

pragnień cel
rosnącej trawy
głuchosc

cisza



bywają wiersze
zakratowane

bruliony życia
pisane
tanim atramentem

Tryptyk publicystyczny

I

jest taki człowiek który
splunięcie opłaca bólem
peronowy pet
wystawia diagnozę
przydeptaną głodnym butem

w kieszeni w lepkiej dłoni
zaciska pierścioneł
jedyne złoto od Zuzi
świętej pamięci peronówny

przygarnął ją skopaną
już nigdy nie siusiła na peronie
zakochał się w niej
realistą był również
poroniła mu czworo dzieci

w kieszeni zaciska palec
wyschniętą pamięć o Kaziku
pięknie mówił – bo poeta był
zasnął na torach
pociąg nie ominął

nie ma już przyjaciół
Boga nosi za pazuchą

dobrze im
bezpiecznie

II

redaktor poczytnego
ale brukowca
z pięścią mikrofonu

alkoholik
zatopiony w dymie
popularnych urojeń

dłaczego pan pije?

bo to jest przystanek autobusowy
bo to jest
Graala świętego kielich
bo to
poczekalnia oddechów
jest

jest jeszcze
dym
ostatniego papierosa

III

przeciętny człowiek
problemy przeciętne
pieniądze i Boga
wielbił ze strachu
i bez wzajemności
myślał o śmierci
na żelaznych torach
szybko oddychał

przeciętna kobieta
problemy przeciętne
kochała rodziców
z wzajemnością
i ze strachu
myślała o śmierci
szeptem
na żelaznych

spotkali się
na żelaznej drodze
spleceni dłońmi
czekali

Bóg wstrzymał relacje



czasami – bywa
ze snu
budzą się uczucia

jedni modlą się
inni bogiem bywają



poeta to
drapieżny ssak
przybłądny kot
wczepiony pazurami
w spadziste dachy
nocy

to twórca gołębi
przelewających się
przez ramy
gdzie tyle cembrowin
ile upadków

O sobie

kawałek ze mnie mięsa
kości więcej
podłogi posiadam
pięćdziesiąt
i pięć kilo dobra

miłość
wysypała się
przez dziurawe kieszenie
doczesności materialnej
ręce w tych dziurach
pogubiły się
bezczynością myślenia